

Don Juan tłumaczy Moliera

– Melodię przekładanych na polski słów i zdań sprawdzałem na samym sobie – mówi aktor **Jerzy Radziwiłowicz**.

JAN BOŃCZA-SZABŁOWSKI

Kto bardziej sprawuje rząd dusz w polskim teatrze: Szekspir czy Molier, który 15 stycznia obchodziłby 400. urodziny?

Zdecydowanie Szekspir. Jest nie tylko ważniejszym dla nas autorem, ale i zdecydowanie lepiej znanym. Molier funkcjonuje wyłącznie jako komediopisarz. Przymierzał się wprawdzie do tragedii, ale szybko zorientował się, że to mu nie wychodzi, więc skupił się na komediach.

Inaczej jest we Francji.

Tam jest po prostu bogiem. On – a potem cała reszta.

Teatr dla Moliera był największą miłością. Żył dla sceny, grał i umarł na scenie. I nie zrażał się tym, że jego pierwsza trupa po kilku latach zbankrutowała.

Tak. Wraz z Madeleine Béjart postanowił szukać szczęścia na prowincji i dołączył do wędrowniej trupy Charlesa Dufresne'a, a grając w niej, z czasem stał się jej naturalnym liderem. Potem, kiedy przyjechali do Paryża i spodobał się na dworze, otrzymali patronat króla i salę, którą dzielili z trupą włoską. Włosi byli bardziej od nich znani, więc występowali w lepsze dni tygodnia, oni – w gorsze. Po pewnym czasie sytuacja się odmieniła. Przeniesiono ich do sali pałacu Richelieu, dziś Palais Royal.

Molier nie obawiał się, że takie uzależnienie od władzy może być dla artysty niebezpieczne? Zapewnia był, ale ogranicza wolność.

Pan rozumuje po dzisiejszemu: wolna sztuka i publiczne pieniądze. Żadne publiczne pieniądze. Jeżeli już – to z zakupionych przez publiczność biletów. Ludwik XIV był władcą totalnym i uzależnienie od niego dawało głównie korzyści. Podnosiło prestiż artysty. Oczywiście, jeśli podobał mu się teatr, król mógł otoczyć go opieką, jeśli nie – takiego wsparcia nie dawał.

Zatem Molier miał świadomość, że nie powinien narażać się królowi. A przecież swymi sztukami narażał się wielu warstwom społecznym, krytykując ich hipokryzję, obłudę, fałszywą pobożność, zakłamanie.

Królowi najwyraźniej odpowiadała ta krytyka, bo wielokrotnie Moliera chronił. Więc jeśli pan chce porównać to do dzisiejszych czasów i porozmawiać o powinnościach rządu i ministra kultury, znów sytuacja wydaje się nieporównywalna. Zwłaszcza, że dzisiejsza władza raczej do teatru nie chodzi.

Ludwik XIV popierał artystów bez warunków wstępnych?

Można tak powiedzieć. Ale też króla w sztukach



MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

nie krytkowano. To był warunek konieczny.

W polskiej literaturze nie zawsze on obowiązywał, zwłaszcza w czasie romantyzmu. Weźmy choćby „Dziady”, które zawsze będą doskwierać władzy.

Wszystko zależy od czasów i od rządów. Niech pan zwróci uwagę, że między „Dziadami” Dejmka, które podpadały ówczesnym rządzącym, a „Dziadami” Kleczewskiej, które podpadły obecnym rządzącym, ten utwór wystawiano wielokrotnie i nie było zgrzytów. Żadni rządzący na ten temat się

nie wypowiadali. Po prostu niektórzy sprawujący władzę mają jakąś nadwrażliwość, jakiś lęk, że jakiś spektakl, film czy manifestacja artystyczna może zachwiać w posadach ich rządami.

Wróćmy więc do Moliera. Dzięki pana przekładowi w Polsce ożył on na nowo. Adam Pomorski, prezes polskiego PEN Clubu, wręczając panu nagrodę za tłumaczenia „Świętoszka”, „Don Juana” i „Mizantropa”, powiedział: „Nagradzamy przekłady znakomite, które chwałą profesjonaliści teatru, profesjonaliści przekładu i sami czytelnicy”.

Profesor Zbigniew Raszewski pisał: „Nie jest całkowicie europejskim naród, który nie ma swojego Moliera. A nie ma go, jeśli go co pokolenie nie odnawia”. I myślę, że nie sposób nie zgodzić się z tą opinią.

Co zdecydowało, że podjął się pan nowego tłumaczenia Moliera?

To była propozycja Jerzego Grzegorzewskiego. W 1994 roku wystawił „Don Juana” w Comédie de Saint-Étienne, gdzie zaproponował mi rolę tytułową. A potem postanowił przenieść tę inscenizację do Teatru Studio. Zorientował się, że żaden z istniejących przekładów mu nie odpowiada, więc zaproponowałem mu własny. I tak to się zaczęło.

Nie ma co ukrywać, że tłumaczenia Boya mocno się już zestarzały.

Już Bohdan Korzeniewski w latach 60. postanowił tłumaczyć Moliera. Jako reżyser uznał, że przekłady Boya są dość anachroniczne. Poza tym walczył z utartym, konwencjonalnym obrazem Moliera jako zabawnisia, facecjonisty. Język Boya to język początku XX wieku. Od tego czasu polszczyzna wyraźnie się zmieniła. Zmienił się też teatr i miało się wrażenie, że język Boya jeszcze go archaizował. W jego przekładach są, na

przykład, takie zwroty, jak „aśka” – z zupełnie innej epoki. A postaci Moliera normalnie ze sobą rozmawiają. To były teksty współczesne, na które nie ma powodu sztucznie nakładać patyny. Nie należy ich, oczywiście, za bardzo uwspółcześniać. Trzeba znaleźć taki środek, który zachowa współczesność, nie rażąc nadwspółczesnością. Czasem zdarza się, że w tłumaczeniach znajdzie się coś, czego nie ma u Moliera, albo też rzeczy czy zjawiska, nad którymi tłumacz zbyt łatwo przeszedł do porządku dziennego.

Czuje się, że pana przekłady to dzieło aktora, czyli praktyka, dlatego tak dobrze się ich słucha. Ćwiczył je pan na sobie?

Nie było wyjścia. Miałem niecodzienną okazję grania wszystkich postaci Moliera. Był to taki teatr jednego aktora i zarazem jednego widza. Na sobie sprawdzałem brzmienie wypowiedzianych słów, ich dobór, melodię zdań, bo wiele zależało od szyku wyrazów.

I nie zrezygnował pan ze zdań dłuższych, jakie są u Moliera.

W przeciwieństwie do niektórych uważam, że ciągle jesteśmy w stanie zrozumieć charakterystyczne dla Moliera zdanie wielokrotnie złożone, bo nie jesteśmy jeszcze sprowadzeni do formatu SMS-a. / ©